

Ottawa, dnia 14 lutego 1999 r.
Fr Jan Sadowski, OMI
201 Lebreton Street N.
Ottawa, ON
CANADA K1R 7H9

Z Kanady po raz ósmy

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!

Nie dziwcie się, że tak długo nie pisałem. Wyjaśnienie jest bardzo proste. W szkołach uczą odzwyczajania się od pisania listów, a ja do szkoły właśnie zacząłem chodzić.

Szybkim załatwieniem spraw wizowych zaskoczyłem wiele osób w Polsce i w Kanadzie. Było to możliwe dzięki dużej życzliwości ludzi, którzy pomogli mi skompletować potrzebne dokumenty, a także poparli te starania modlitwą. W tej mojej intencji została też odprawiona Msza Święta na Madagaskarze przez polskiego Oblata. Potem były bezpośrednie przygotowania do wyjazdu. Dzień 8 grudnia jest Świętem w naszym Zgromadzeniu i postanowiłem spędzić je w oblackim domu w Gdańsku, gdzie mieszkałem przez 4 miesiące. Wieczór był moim pożegnaniem ze wspólnotą. Potem jeszcze odwiedziyny najbliższych i pakowanie walizek. Poradnik życiowy radzi, aby czynność tę rozpocząć pół godziny przed wyjazdem, bo i tak się czegoś zapomni. Po co się długo denerwować. Ja jednak spakowałem dwie walizki (jedna, mniejsza, pełna książek – 23 kg) w sobotę, gdyż w niedzielę rano w kościele parafialnym odprawiłem Mszę Świętą (jak zwykle, w intencji wszystkich, których spotkałem podczas pobytu w Polsce). Potem samochodem księdza wikarego (sam nie mógł prowadzić, bo zajęty był w kościele) zostałem podwieziony na lotnisko. Tym razem nie zapomniałem kluczyków od walizek. Przy sprawdzaniu dokumentów był czas na dodatkowy uśmiech i życzliwe słowo. W samolocie było bardzo luźno, nawet połowa miejsc nie była zajęta. Lot był spokojny, chociaż wielu znajomych dziwiło się, że do podróży wybrałem dzień 13 grudnia.

Po dziesięciu godzinach siedzenia w samolocie znów formalności przekroczenia granicy w Toronto. Tym razem zajęło to więcej czasu. Dostałem masę papierów informacyjnych. Spotkałem tam Chińczyka mówiącego trochę po polsku. Wszedłem mając w paszporcie wizę stałego pobytu w Kanadzie z możliwością otrzymania obywatelstwa kanadyjskiego po trzech latach, jeśli złożę takie podanie i zdam egzamin. Na razie mam uczyć się języka angielskiego.

Po formalnościach, przy wyjściu, spotkałem dwie osoby mające dla mnie miejsce w swoich samochodach. Mogłem jechać od razu do Ottawy, ale wybrałem samochód Oblata z Toronto, aby uczestniczyć w spotkaniu Oblatów na drugi dzień. Uzgodniłem to przez telefon jeszcze z Polski. Po tym zebraniu współbraci polskich Oblatów z okręgu Toronto przywieziono mnie do Ottawy i jeszcze dnia 14 grudnia mogłem „spać w swoim łóżku”. Tym razem podróż samolotem z Polski do Toronto mnie zmęczyła, po prostu opuściłem Polskę zagrypony. Po tygodniu wróciłem do dobrego samopoczucia. Nie stwierdziłem gorączki (nie mam termometru), jedynie chrypka długo mnie nie opuszczała.

Przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia przebiegły spokojnie. W konfesjonale spędziłem nieco więcej czasu, ale po to przyjąłem Świeceni Kapłańskie. W piątek przed Bożym Narodzeniem licznie przybyli parafianie, aby złożyć sobie i nam życzenia bożonarodzeniowe. Dlaczego tak wcześnie? Bo niektórzy zaraz po Świętach wyjeżdżają na Florydę lub do innego ciepłego miejsca.

W tym roku Wigilię mieliśmy na plebanii. Potem dwie Pasterki: o 22-ej dla dzieci i młodzieży, a o północy dla starszych. Tak było napisane w ogłoszeniach, trudniej było zrealizować. Przecież parafianie przyjeżdżają samochodami, a więc całą rodziną, starsi i młodszy razem. Z tego powodu nie można też wyznaczać dyżurów ministrantom: służą, jak przyjadą z rodzicami. A gdy w dniu 3 stycznia spadło 30 cm śniegu, na Mszę Świętą przyjechali tylko najodważniejsi. Odprawiliśmy dodatkową Mszę Świętą wieczorem (informacje przez telefon) i

przyjechało dwadzieścia osób. Nie dojechała nawet siostra zakonna i dzieci nie miały przedstawienia (zamiast kazania).

Tego dnia trzeba było odwołać koncert kolęd (ofiary przeznaczone na odbudowę misji w Hondurasie), ale uroczysty obiad na plebanii nie został odwołany (przybył p. Ambasador Polski).

Koncert odbył się dwa tygodnie później. Był piękny. Znani artyści śpiewali cudownie przy akompaniamencie organów i licznych mniejszych instrumentów, których nawet wymienić mi trudno. Były piękne i głębokie w treści wiersze recytowane przez autorów. Był wiersz napisany przez Ojca Świętego. Były zasłużone entuzjastyczne brawa. Byli przedstawiciele Ambasady Hondurasu. Wszyscy byli szczęśliwi – z wyjątkiem mnie. Już miałem okazję powiedzieć o tym prowadzącemu ten koncert (ma silny, dźwięcznie brzmiący głos). Zapraszał mnie na „kolędy przy świecach”. Nie odmówiłem, ale postawiłem mu jedno pytanie: kto z uczestników tego niedzielnego koncertu pamiętał, że za artystami, w Tabernakulum, jest Pan Jezus Eucharystyczny? Ja z kościoła wyszedłem, gdy rozpoczął się (także artystycznie wspaniały) koncert pieśni niereligijnej. I wiem, że - jak zwykle - przegram w tym konflikcie, ale od pobytu w Paryżu w 1980 roku jestem bardzo wrażliwy na odpowiednie zachowanie się w kościele. Unikam rozmów, nawet po cichu, jak tylko to jest możliwe. Od czasu do czasu przypominam o tym w kazaniach – bez skutku. I nie tylko dzieci rozmawiają. Przygłuchawi „niemłodzi” robią to dużo głośniej. Czy w Polsce jest tak samo? Ilu starszych „nierówno” śpiewa lub recytuje wspólne modlitwy? Trochę za wcześnie, trochę za późno, ale zawsze inaczej.

W Nowy Rok przez dwie godziny śpiewałem kolędy przy gitarze. Dawno nie uczestniczyłem w takiej atmosferze. Ale tego dnia obiad zjadłem w rodzinie o żywych polskich i katolickich tradycjach. Są jeszcze takie. Nawet w Kanadzie.

W dniu 8 stycznia zostałem zaproszony (choć powinienem tam być z obowiązku) na opłatek Bractwa Różańcowego. Najpierw odprawiłem Mszę Świętą, podczas której młodzież angielska śpiewała kolędy po polsku (z dużo lepszym akcentem, niż przed rokiem). Potem na sali pod kościołem przy kawie, ciastkach i owocach słuchaliśmy okolicznościowych wierszy recytowanych przez autorkę (należy do Bractwa Różańcowego). Słuchaliśmy i śpiewaliśmy kolędy. Najwięcej czasu zajęło dzielenie się opłatkiem: ponad 60 osób dorosłych. Dzieci wciąż biegały, więc trudno było je policzyć, ale z życzeniami podchodziły też do wszystkich, nie zawsze trzymając opłatek – im się szybko kończył. Tu mi się podobało, chociaż było bardzo głośno.

Kilkunastu mężczyzn stawiało i stroiło choinki w kościele. Czuli się odpowiedzialni za ich rozebranie. Chcieliśmy, aby choinki stały do dnia 2 lutego (zachowując polską tradycję). Niestety, w dniu 15 stycznia miasto zorganizowało akcję usuwania choinek i kto w tym czasie nie wystawi drzewka przy ulicy, potem sam musi wywozić na śmietnik miejski, daleko od miasta. Usuwanie choinek i czyszczenie parków z połamanych gałęzi odbywa się w ten sposób, że do maszyny wkłada się gałęzie, które zostają pocięte bardzo drobno. Potem te trociny wykorzystuje się w parkach przy sadzeniu nowych drzew lub użyźnianiu trawników – nic się nie marnuje. Niestety, śnieg przeszkodził w likwidacji choinek i ponad tydzień stały przed kościołem.

W połowie stycznia, tradycyjnie, przez 4 dni uczestniczyłem w „dniach studyjnych”. Ponad dwudziestu Oblatów polskiej prowincji spotkało się w Mississauga. Miasto o tej indiańskiej nazwie ma około 700 tysięcy mieszkańców i jest praktycznie połączone z Toronto, jak w Polsce miasta Górnego Śląska. Był czas na doksztalcenie się w liturgii, prowadzeniu parafii, a przede wszystkim na rozmowy i ta część spotkania jest zawsze najprzyjemniejsza. Ja nic nie rozumiałem – mówiono po angielsku.

Byłem na parafialnym opłatku w drugą niedzielę stycznia, ale tylko 20 minut, z czego 10 minut czekałem na rozpoczęcie („normalne” spóźnienie) i 4 minuty przemawiałem, łącząc składanie życzeń z poświęceniem opłatków. Potem od razu wsiadłem do samochodu, aby przebyć około 450 km. W połowie drogi do Mississauga przeżyłem burzę śnieżną. Był już wieczór, ale i za dnia też nie byłoby widać drogi. Autostrada ma tu dwa pasy, ale wszyscy

jechali 20 km/godz. środkiem jezdni starając się jechać za czerwonymi światłami pojazdu poprzedzającego. Kierowcy lękliwi ujawniali się włączając światła awaryjne. Widziałem kilka samochodów w rowie, nam udało się dotrzeć do celu. W Toronto i okolicy spadło 95 cm śniegu w ciągu tygodnia, pomoc wojska była konieczna, ale ja do domu wróciłem autobusem bez opóźnienia, przy temperaturze odczuwalnej -42°C . Tu podaje się taką biorąc pod uwagę czynnik wiatru – termometr wskazywał „tylko” -18°C . Podczas tych dni studyjnych doszła nas wiadomość o śmierci O. Władysława. Upadł 20 metrów przed klasztorem w Lublińcu. Wracał z kolędy. Czytający moje listy z Madagaskaru znali go. Potem pracowaliśmy niedaleko siebie we Francji. Powrócił do Polski na leczenie 2 miesiące po moim wyjeździe do Kanady w 1997 roku.

W dniu 18 stycznia stawiłem się na egzamin kwalifikacyjny z języka angielskiego. Trwał półtorej godziny. Próbowałem rozwiązać testy. Dwa dni później w pobliskiej szkole pokazałem kartę egzaminacyjną. Przyjęto mnie do bezpłatnej szkoły dla imigrantów i to do drugiej klasy, co zdziwiło trochę kierownictwo szkoły. Wyniki (klasyfikacja 1 do 8) miałem takie: rozumienie ze słyszenia: 1 (czyli po polsku pałka); wymowa: 2; pisanie: 3 (tu nawet ja jestem zdziwiony) i rozumienie tekstu drukowanego: 4 (to pomyłka albo cud). Od 21 stycznia uczęszczam do klasy drugiej od poniedziałku do piątku na 3 godziny dziennie. Pięć nieusprawiedliwionych nieobecności powoduje skreślenie ze szkoły. Tak więc po 18 latach znów „chodzę do szkoły”. Chociaż na komputerze jestem najszybszy, to wśród dwudziestki uczniów ja rozumiem najmniej. Raz polecono mi zrobić na komputerze drugie ćwiczenie, a ja wyszedłem z pracowni w kierunku naszej klasy... Też jestem najstarszym uczniem w klasie.

Przy okazji ciekawostka. Dlaczego ładnie piszę tylko na maszynie? Nigdy w żadnej szkole nie byłem uczniem klasy pierwszej. Wyjątkiem było Seminarium, ale z powodu reformy nasz kurs czwarty po wakacjach stał się kursem szóstym – bez mojej zasługi.

Wielu ludzi zauważyło, że mnie zdarzają się historie typu „naj... –dziwniejsze, śmieszniejsze itp. Na kursie języka angielskiego niemal codziennie należy wstać ze swojej ławeczki szkolnej i podejść do innego studenta, aby mówić, oczywiście po angielsku. Na pierwszym takim zadaniu wypadło mi „rozmawiać” z imigrantką z Libanu. Gdy przedstawiłem się, moja rozmówczyni od razu przeszła na język francuski, aby „pochwalić się, że jej brat jest księdzem, a dwie siostry są zakonnice i wszyscy mieszkają we Francji”. Jej ojciec zginął w Libanie, ona urodziła się już kilka miesięcy po jego śmierci, a z rodziną spotkała się po raz pierwszy, gdy miała lat 20. Smutna historia.

Na jednym z wykładów mieliśmy opisać swój wygląd. Przy okazji zauważyłem, że włosy długie u chłopców są uważane za krótkie u dziewcząt. Czy w Polsce jest podobnie? Napiszcie mi, bo ja na to do tej pory nie zwracałem uwagi. Wydawało mi się, że od kilkudziesięciu lat mam zawsze włosy średnie. Są na głowie, widać je, chociaż coraz bielsze i rzadsze, za to niewiele kłopotu z czesaniem, coraz mniej kłopotu.

Zwyczaj obchodzenia imienin pozwala nie liczyć lat. Gdy pewna pani kończyła następną dziesiątkę lat, pytającym o sposób uczczenia tej rocznicy stanowczo oświadczyła, że żadnego przyjęcia nie urządzi. I słowa dotrzymała. Jej dorosłe dzieci przygotowały niespodziankę. W tajemnicy przed nią dzieci zapraszając gości prosili, aby przybyli punktualnie, pozostawiając swoje samochody z dala od jej domu. Dwie godziny wcześniej syn wymyślił jakąś atrakcję i zabrał swą mamę w podróż po mieście. Gdy powróciła kwadrans po przybyciu zaproszonych gości, ujrzała wszystkich przy dobrze zastawionym stole w swoim mieszkaniu: rodzeństwo przygotowało wszystko w swoich domach, przywieźli... Dowcip się udał i chyba wszyscy będą długo wspominać to przyjęcie. Lubię takich „niepoważnych” ludzi! Z pewnością też Pan Bóg jest zadowolony widząc wielką radość w ich sercach. I prawdziwą życzliwość: nie tylko zjeść, ale też przygotować.

Ponad dwa tygodnie przed Środą Popielcową harcerze urządzili „śledzika”. Byłem i ja zaproszony. W „Domu Polskim” posadzono mnie przy „honorowym” stole, zjadłem kolację i o 10-ej w sobotni wieczór odwieziono mnie do domu, jak prosiłem już wcześniej. Zabawa trwała do godziny pierwszej w nocy, jak zwykle w takich przypadkach. Mam dużo uznania dla harcerzy tego szczepu „Lechitów” od czasu, gdy widziałem ich przy pracy w kościele: bez ociągania się i

z uśmiechem na ustach. Ale na tej zabawie ich nie było: z pewnością grzecznie spali w domu, zabawa była dla ich rodziców. Ale skąd nazwa „śledzik”? Przed laty ilość uczestników była mniejsza i ta zabawa miała miejsce na sali pod kościołem w „Ostatki”, czyli we wtorek przed Popielcem. O północy pewien pan wchodził na salę z drewnianą kołatką, jakiej używa się w Wielki Piątek zamiast dzwonek. Wnoszono też półmiski ze śledzikami, a po ich opróżnieniu wszyscy udawali się do swoich domów.

Przepraszam, nie wszyscy. Tu jest taki zwyczaj, że organizatorzy zabawy czy przyjęcia są odpowiedzialni za pozostawienie sali czystej i uporządkowanej. I nie zdarzyło mi się widzieć nawet jednego papierka na podłodze po takim przyjęciu. Gospodarz (w Polsce nazywa się kościelnym) przy naszym kościele nie musi poprawiać po wypożyczających salę.

W następną sobotę, czyli tydzień po „śledziku”, poszedłem do Domu Polskiego na zabawę organizowaną przez zespół muzykujących dzieci „Akord”. Mam dużą sympatię dla tych małych i cichych. Poszedłem „bez zaproszenia”, prosząc o wykupienie biletu dla mnie, jako „anonima”. Organizatorzy po prostu nie spodziewali się, że ja zgodziłem się przyjść i dlatego mnie nie zaprosili. Po prostu jeszcze żaden ksiądz ich nie odwiedził. Nie byłem długo, gdyż do domu powróciłem grzecznie autobusem przed 10-ą wieczorem, kiedy uczestnicy zabawy skończyli kolację i rozpoczynali tańce. Dzieci – oczywiście – spały. Dzieci te grają na różnych instrumentach (własnych) także w kościele. Podśledzałem kiedyś rozmowę o ustawieniu krzeseł i pulpity. Siedzą przy pierwszych ławkach, ale tyłem do ołtarza – i z tego nie są zadowoleni. Trudno rozwiązać ten problem, gdyż kościół jest mały, ławki dochodzą niemal do stopni ołtarza i nie daje się ustawić inaczej ich pulpity pod nuty. Pomimo tego dzieci te nie tylko grają, nie tylko śpiewają, ale też biorą modlitewny udział we Mszy Świętej. Czy dziwicie się teraz, że ten chórek podoba mi się tak bardzo? A czy ministranci w Waszej parafii też się modlą służąc do Mszy Świętej?

I na tym kończę. Bez dowcipu. Młodzież uczestnicząca w „Święcie Młodości” na Górze Świętej Anny stwierdziła, że „ksiądz powinien być poważniejszy. Jestem im posłuszny. Dodaje tylko problem.

Z serdecznym pozdrowieniem
W Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI

Problem N° 29

„NA TY” CZY PRZEZ „PAN, PANI”?

To nie jest tylko pytanie teoretyczne i nie tylko dla dzieci. Po prostu sam nie wiem, jak mam tytułować takich Korespondentów, których zapoznałem w czasie prowadzonej katechezy albo na szpitalnej sali oddziału dziecięcego. Nie obrażali się, gdy do nich mówiłem na „Ty” (jak ci na imię?), a chwilę potem po imieniu. Przypadkowe spotkanie rozpoczęło krótszą lub bardzo długą korespondencję. Nieraz taka znajomość przetrwała nawet kilkanaście lat, dopóki dzieci nie dorosły do Sakramentu Małżeństwa. A że potem obowiązki powiększają się, nic dziwnego, że korespondencja urywa się. Zdarza się, że po latach korespondencja odżywa. Jak ja mam tytułować takich Dorosłych, do których kiedyś zwracałem się na „Ty”, albo po imieniu. Przecież tak mówić mi do ludzi starszych nie wypada.

Przed ponad 40 laty stało grzecznie w kolejce oczekujących na zarejestrowanie się w przychodni lekarskiej dwóch siedemnastolatków, uczniów przedmaturalnej klasy w Niższym Seminarium Duchownym. Zauważyli, że pracująca w okienku z wyglądu sześćdziesięcioletnia urzędniczka zwraca się do studentów per „ty”: „Co chciałeś”? To nie podobało się jednemu z tych „już nie dzieci”. Towarzyszącemu koledze powiedział, że nauczy ją grzeczności. Gdy przyszła na niego kolej, usłyszał tradycyjne: „Co chciałeś?” – „Żebyś mnie zapisała” - odpowiedział już prawie dorosły człowiek. Od tej pory urzędniczka wszystkim studentom mówiła per „pan”, „pani”. Także do niego.

Nie ma takiego problemu w innych językach. Po francusku formą grzecznościową jest „Wy”, w Afryce „ty” używane jest do wszystkich, nawet wobec ministra, biskupa czy kardynała. W języku angielskim „You” znaczy „ty, wy, pani, pan”. Tylko Polacy mają problemy. Poradźcie mi, jak ja mam tytułować Moich Czytelników, których znam od paru dziesiątek lat? Misjonarze mówią sobie „per ty”. Niektórzy z moich młodszych współbraci nie mieli odwagi tak się do mnie zwracać, ale pomogłem im przełamać barierę szacunku (można mieć szacunek nie używając tytułu „ksiądz”). Jeśli ktoś z nich zwracał się do mnie przez „ksiądz” lub „ojciec”, ja odpowiadałem tak samo dodając tytuł: „czcigodny ojciec”. Pomagało. Obecnie, gdy młodszy ksiądz prosi, abym im mówił „po imieniu” zgadzam się pod warunkiem, że oni tak samo będą zwracali się do mnie. Rzadko który ksiądz zgodzi się na to i tytułujemy się nadal przez „ksiądz”. Tu jestem bardzo stanowczy (albo uparty, jeśli wolicie).

A jeszcze poważniejszy problem wymyśliłem dla najmłodszych (od lat 8 do 108). **Czy jest słusne, aby ksiądz, zwłaszcza młody, spowiadając osoby starsze mówił im „per ty”?** Ja wszystkim zawsze tak mówiłem i jeszcze nikt mi nie powiedział, że obraził się z twego powodu. No, gdy ksiądz mający 25 lat spowiada 90-letniego: jak ma mówić: „per pan”, czy „per ty”?

Czekam na odpowiedzi.

PS. Kasia dostała czekoladę. Rodzice powiedzieli jej, aby podzieliła się nią z braciszkiem po chrześcijańsku. Zapytała dziadka:

- Dziadku, co to znaczy: „podzielić się po chrześcijańsku?”
 - Przełamać i większą część oddać, a sobie zatrzymać mniejszą.
- Kasia niesie czekoladę i daje ją braciszкови.
- Krzysiu, masz czekoladę, ale podziel się ze mną po chrześcijańsku.